

POLSKA WALCZĄCA

B.D.I.C

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 11-go marca 1944r.

Rok VI. Nr. 10

TYGODNIE, MIESIĄCE, LATA . . .

Atlantyk, w styczniu 1944 roku
Obejmując o północy służbę na radiostacji, wpisałem do dziennika radiostacyjnego datę: "1-go stycznia, 1944 roku." Koniec starego i początek nowego roku zawsze wywołuje wiele wspomnień z lat ubiegłych, oraz okoliczności, w jakich się go spędziło. Ale wczorajszy, nasz piąty w tej wojnie Sylwester, nie różnił się od innych, to znaczy, że spędziliśmy go na morzu w sztormowej pogodzie. A że musieliśmy przedtem wypłynąć z portu w dzień wigilijny, klnąc z tego powodu w zupełnie nie świątecznym nastroju na wszystkich, którzy byli temu winni — więc też i refleksje, jakie Nowy Rok wywołał, są przeważnie smutne i gorzkie.

Bo wkrótce już pięć lat dobiegnie, jak statki nasze opuściły Gdynię, wypływając w swe normalne pokojowe podróże, nie wiedząc, iż tak długo nie będzie dane im wrócić do macierzystego portu. Pięć lat już, jak załogi schodzą po ciężkim rejsie na ląd, nie dotknięte stopami polskiej ziemi. Są wprawdzie tacy, u których okres ten jest krótszy; to ci, co przeszli piekło rosyjskie lub zielone granice wszytkich krajów Europy, by wrócić na pokład swego statku, a są tacy pośród nich, którzy jeszcze parę miesięcy temu byli w Polsce.

Te pięć lat i tych kilka miesięcy, każdy z załogi spędził na froncie, na froncie, który ma tylko jedną linię — pierwszą.

Linia ta opasuje glob w różnych kierunkach, i wszędzie gdzie przeciska się przez cieśniny, i tam gdzie prostą kreską przecina olbrzymie połacie oceanów — tam wszędzie są nasze statki i załogi. Były także na "szlaku murmańskim," woziły w ciężkich i najcięższych warunkach ładunki do Rosji. O tym warto przypomnieć. Zwłaszcza teraz . . .

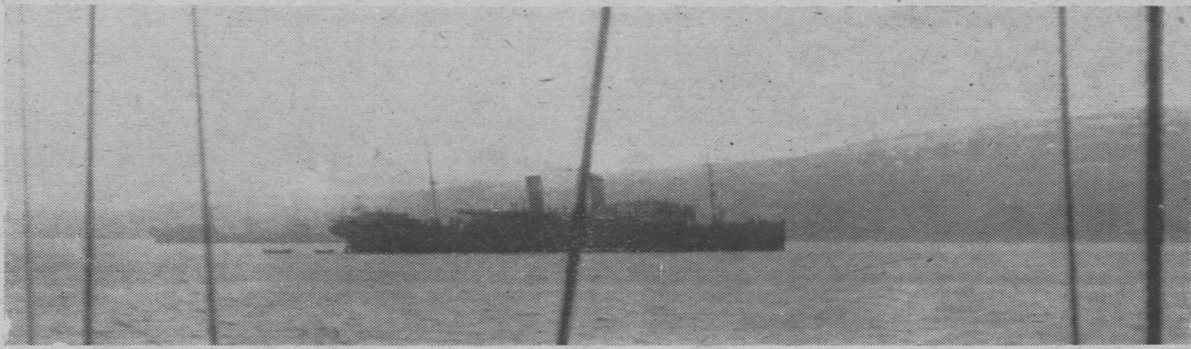
Linia ta szerokim pasem biegnie poprzez trzy tysiące mil Północnego Atlantyku, jakie dzieli Anglię od kontynentu amerykańskiego. Była ona mocno nadszarpowana w ciągu tych lat, i wzdłuż tej linii najcięższe toczyły się walki i obie strony poniosły największe straty. Lecz teraz, gdy szale Bitwy o Atlantyk zdecydowanie przechylili się na naszą korzyść, należało by przypomnieć społeczeństwu, że w bitwie tej brały i nadal biorą udział nasze statki i załogi. I ponoszą straty . . .

Bo o tym coraz bardziej się zapomina . . .

Modna i fotogeniczna jest Marynarka Wojenna. Prasa co tydzień podaje, ile ten lub ów okręt przebył mil, ile nieprzyjacielowi zatopił, ile razy ochraniał konwój i ile razy wystrzelił przy tym z dział. Gdy któryś z okrętów wojennych zatonił w walce, w krótkim czasie pojawia się w prasie notatka o tym, a w ślad za nią sypią się dokładne opisy wypadku, indywidualnych wyczynów załogi, oraz fotografie odznaczonych — z przodu, z tyłu, z lotu ptaka . . . Cenzor puszcza to wszystko.

Należy im się to i my jesteśmy pierwsi, by się z tego cieszyć. Zastępują na podziw i szacunek nas wszystkich, tym bardziej, że nie mając prawie przed wojną możliwości wypłynięcia poza półwysep helski — dziś takie sukcesy odnoszą na szerokich wodach. Dowodzi to, jak szybko Polacy umieją dostosować się do każdego warunków.

Gdy natomiast statek handlowy rozerwany torpedą lub bombą lotniczą, idzie na dno — o tym, jak zginęła jego załoga wiedzą tylko ci, którym dane było się uratować.



W prasie ani mru-mru! Cenzor nie pozwala . . . — podobno! "Jeżeli już muszą ginąć — niech to robią po cichu" — dodaje.

Straciliśmy już w tej wojnie dużo, jak na nas, liczbę statków, lecz mimo iż niektóre z nich zatopione zostały już parę lat temu, do tej pory nie wolno wspomnieć o tym ani słowem.

Statki handlowe i ich walki nie są tak fotogeniczne i nadające się do opisów, jak okręty wojenne i ich walki. I nie mają korespondentów wojennych na pokładzie. Ni operatorów filmowych . . . Więc to, co uczyniła dla sprawy naszej swą walką i pracą, pozostanie z konieczności ich "tajemnicą" i nawet pokolenia, które przyjdą po nich, by walczyć polskim morzem, wiedzieć o tym nie będą.

A przecież morze i wszystkie związane z nim sprawy, winny stać na jednym z pierwszych miejsc w naszej propagandzie — zwłaszcza tej na wywóz. Wszak my przy konferencji pokojowej będziemy domagać się słusznie nam się należących statków niemieckich, o odpowiednim do naszych potrzeb tonażu — a fakt ten może być niespodzianką dla przeciętnego Anglika, a tym bardziej Amerykanina, którzy o istnieniu Polskiej Marynarki Handlowej i jej pracy nie nie wiedzą. I nie należy się im dziwić, bo jeszcze wielu Polaków, tu na emigracji o tym nie wie. Wiedzą o "Orle," "Wichrze" czy "Burzy" . . . Co setny słyszał kiedyś o "Piłsudskim," lecz o flocie handlowej, tych małych odrapanych sztormami statkach, pływających w ciężkich warunkach po wszystkich morzach świata, wie zaledwie maleńki procencik tych, którzy się w ten czy inny sposób z nimi zetknęli.

A statki te i załogi pracują i walczą już tyle lat!
A jakie jest ich życie? Oto streszczona historia jednego z nich i historia życia jego załogi od września 1939 roku:

Gdy wybuchła wojna w Polsce, statek ten /znów bez nazwy, bo nie wolno/ znajdował się na morzu w drodze do Egiptu. Dla otrzyma-

nia nowych instrukcji zaszedł do Gibraltaru, skąd po paru dniach wypłynął, by oddać ładunek w porcie przeznaczenia. Później, przez całą zimę i wiosnę, aż do chwili upadku Francji, pływał między portami Bliskiego Wschodu a Anglią.

Były to czasy, kiedy statki nie posiadały jeszcze żadnego uzbrojenia, i prawie każdy atak nieprzyjacielskich samolotów kończył się zatopieniem zaatakowanego. Odbywało się to mniej więcej w ten sposób, że samolot latał sobie nad statkiem ile razy i jak długo mu się podobało, i rzucał bomby, lub urządzał sobie ćwiczenia w strzelaniu z karabinów maszynowych do ruchomego celu; z tym, że celem był statek. Do roli zaś załogi należało: znaleźć sobie jak najszybciej schronienie gdzieś za windą ładunkową, lub leżeć płackiem na pokładzie i ewentualnie grozić pięścią.

Na niektórych statkach, załogi porobiły drewniane sylwetki dział i karabinów maszynowych dla odstraszenia niemiaszków, i nawet dla większego prawdopodobieństwa, pełniono przy nich służbę. I nie jeden raz to pomogło!

Wiosną 1940 roku, Niemcy wprowadzili swą pierwszą w tej wojnie "tajną broń" — miny magnetyczne. Wprowadzenie jej zaskoczyło Aliantów i zanim wynaleziono środki zaradcze, wiele dobrych statków poszło na dno u brzegów angielskich, w zatokach i u ujścia rzek.

Nieraz atlantycki konwój przybył na redę portu, lecz po rozwiązaniu go, żaden ze statków nie miał ochoty wchodzić pierwszy, dając innym pierwszeństwo wylecenia w powietrze i "przetarcia" wejścia. Piloci zaś portowi, wchodząc na pokład, natychmiast wdziewali pasy ratunkowe, radząc nam, byśmy zrobili to samo. A później mijając sterzące z wody wraki, mówili, kiedy i jak szybko któryś z nich poszedł na dno. "Morze przepłynął — u brzegu zatonał" . . .

W czasie upadku Francji, statek, o którym mowa brał udział w ewakuacji polskich oddziałów

wojskowych, cywilnych uchodźców i obywateli alianckich. Odbywało się to w czasie, gdy już na północnym brzegu wyjścia z portu znajdowały się pierwsze oddziały niemieckie.

Wtenczas to, z broni jaką nasi żołnierze przynieśli z sobą /bo jej nie rzucili/ stworzono na statku coś w rodzaju obrony przeciwlotniczej, i załoga zamiast grozić pięściami, tłoczyła się przy karabinach, gdy tylko dał się słyszeć szum samolotu.

A później statek rozpoczął rejsy atlantyckie do Ameryki Północnej . . . i na tym kończy się jego historia. Właściwie to nie kończy się, bo statek nadal, to jest przez blisko cztery lata bez przerwy pływa po Atlantyku między Anglią a Stanami Zjednoczonymi.

A historia tych rejsów? Można by ją pisać, albo dzień po dniu, albo w kilkunastu zdaniach zamknąć historię każdego ataku, od czasu, gdy Niemcy atakowali pojedynczymi okrętami podwodnymi i dalekosiężnymi bombowcami "Focke Wulf," aż do czasu, kiedy wprowadzili system atakowania przez t.zw. "wolf packs" — stadem wileczymi, gdy kilkadziesiąt okrętów podwodnych, przy współpracy samolotów, przypuszczało skoncentrowany atak na konwój.

Ile razy w ciągu tych lat statek był atakowany, ile razy po rozbiściu konwoju przebiegał się sam przez koncentracje okrętów podwodnych, i ile razy w pojedynkę bronił się atakom z powietrza — pozostanie tajemnicą Dziennika Okrętowego, oraz archiwum naszego Ministerstwa Żeglugi.

A jest tam wiele ciekawych zapisów, może ląkonicznych, ale mówiących tak wiele. Bywa wiele dni z rzędu, gdy obok normalnych zapisów o pogodzie, wietrze i kursach, codziennie wpisane są numery statków, które poszły na dno. A za tym jest cała historia pięciu — sześciu dniowych ataków niemieckich "wolf packs."

Zapisy o pogodzie są dość monotonne. Przez osiem do dziesięciu miesięcy każdego roku, powtarzają się stale te same: "Wiatr SSW

8 — 9, 9 — 10, fala zalewa pokład i ładownie," "Fala zerwała szalupę ratunkową z prawej burty . . .", "Fala zmyła następującego ładunek pokładowy . . .", "Fala złamała nawiewnik na przednim pokładzie . . .", "Statek bije dnem o fale . . .", i t.d., i t.d., dzień za dniem, i rok za rokiem.

Ładunek bywa różnorodny, ale nie było jeszcze rejsu, by statek nie wiózł, ileś tam setek ton dynamitu, bomb, i innych za najmniejszą prowokacją wybuchających materiałów.

Zdania załogi o ładunku, dziela się. Optymista mówi: — "Nie mam nic przeciwko mieszkaniu na dynamicie, ale uważam, że powinni nas zaopatrzyć raczej w spadochrony, a nie korki ratunkowe. Bo my przecież, gdy nas trafią, nie będziemy tonąć, ale lecieć w powietrze!" — A na to odpowiada pesymista: — "Nic Ci to nie pomoże, bo polecisz tak wysoko, że spadając ze spadochronem, umrzesz z głodu."

I pływają nadal, śpiąc, jedząc i mieszkając na dynamicie. Choć czasem, po szczególnie ciężkim rejsie, któryś poprosi o przeniesienie go na inne rejsy, gdzieś na południe, gdzie mógłby nadwyrężone nerwy wygrzać i uspokoić w tropikalnym słońcu.

Tak mniej więcej wygląda wojenne życie jednego ze statków Polskiej Marynarki Handlowej. Chociaż dla uzupełnienia obrazu, należy dodać, że załoga dużo klnie. Klnie się najwięcej na lądzie — w Londynie — dokąd po rejsie każdy stara się wyrwać choćby na jeden dzień. A klnie się szczególnie dużo po wizycie na Lowndes Square, gdzie za każdym razem nawijają się mniej więcej taka rozmowa:

—A Pan z jakiego statku?
—Ja jestem z m/s X . . .
—A dokąd Panowie pływacie?
—Do Ameryki . . .

—O-o-o-o! — O jacy wy jesteście szczęśliwi! Jakież to musi być ciekawe! A przywiózł Pan może jakie pończochy, lipstki lub czekoladę?? Bo widzi Pan, ja nam tyle znamych . . .

—Wie Pan, mamy trudności w otrzymywaniu dolarów . . .

—No ale przecież to taka drobnostka! — Ja Panu zaraz dam listę, czego mnie potrzeba . . .

I po paru minutach, ma się w kieszeni listę długą na metr. A na odchodnym, "urzędująca osoba" woła jeszcze:

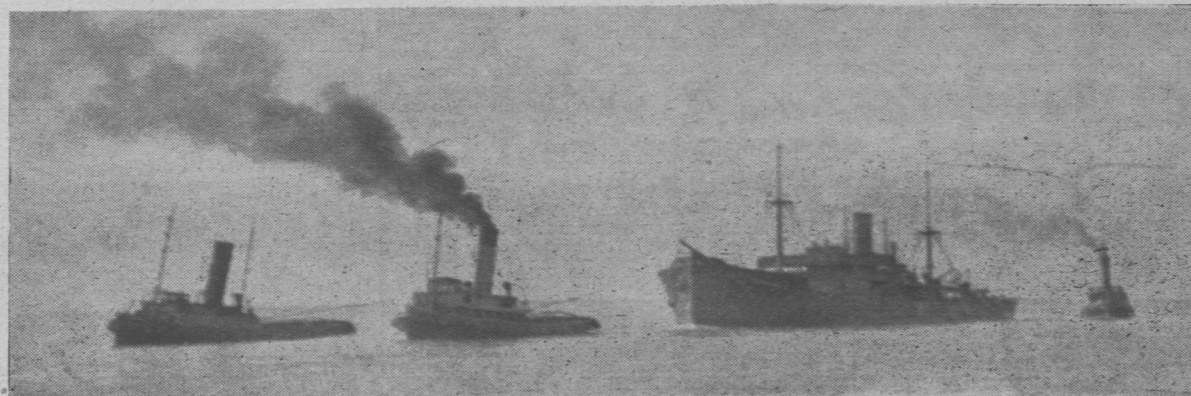
—Tylko niech Pan nie zapomni!!!

—Nie, nie zapomnę — odpowiadają pływający i — trzaska drzwiami.

Dlaczego to wszystko napisałem?

Dlatego, że też bywam w Londynie i też otrzymuję długie listy zakupów od każdego napotkanego Polaka, który zwykle dopiero wtenczas dowiaduje się o istnieniu Marynarki Handlowej i czym prędzej pragnie ją wykorzystać. A poza tym licho mnie bierze, bo wszędzie biorą mnie za Anglika, nie wierząc, że poza O.R.P. "Garland," "Wilk," czy "Sokół" Marynarki Wojennej, istnieje także m/s "L . . .", s/s "S . . .", s/s "K . . ." i wiele innych — cała Polska Marynarka Handlowa. Więc wywróciwszy znaczenie polskiego przysłowia "Co jest dobre — to się samo chwali" do góry nogami, napisałem to — o nas samych.

STEFAN F. GAZEL



© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Polska — żywymi oczami

Dziecko i matka*

B.D.I.C



W czasie łapanki ulicznej

W smutnych dniach wojennych najsmutniejszy chyba jest los dziecka. Dzieci polskie, tysiące razy osierocone, wygnane z domu, wywożone wysiedleńczymi pociągami z Poznańskiego, Zamojszczyzny, Lubelszczyzny, dzieci z ghetta gnane do pociągów straceń — już w czwartym, piątym roku życia patrzą na świat przedwcześnie dojrzałymi oczami ludzi dorosłych, wszystko już rozumiejących.

Praktyki wysiedleńcze pociągowały za sobą tysiące ofiar wśród dzieci. W latach 1939 — 40 — 41 w czasie niezwykle ciężkich zim przeprowadzano wysiedlenia z Poznańskiego, Pomorskiego, Żywieckiego. Rok 1943 zapisał się tragedią wysiedlonych z powiatu Zamojskiego, Hrubieszowskiego i wielu innych. Nieopalone, bydlę-

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru," druk w nr. 6 i "Życie ulicy," druk w nr. 7 "Wobec wydarzeń wojennych," druk w nr. 8 "Polski Walczącej" z b.r.

ce wagony, którymi przewożono nieszczęśliwych przy 30 stopniach mrozu stawały się jakże często grobem dzieci, gasnących w ramionach matek na zapalenie płuc, niemowląt, po prostu kostniejących na śmierć. Obozy zbiorowe, przez które przeszły setki tysięcy polskich rodzin były najstraszliwszymi kaźniami dla dzieci. Wysiedleni pozostawali w tych obozach przez parę tygodni, bez ciepłej odzieży, bez pościeli, w brudzie, robactwie, wśród szalejących epidemii. Kaszel i bezsilny płacz dzieci był jedynym głosem obozów, w których milczący ludzie czekali na najgorsze.

Ostatnie wysiedlenia z Zamojszczyzny uderzają jeszcze dotkliwiej w dzieci. Wobec gwałtownego zapotrzebowania na siły robocze, Niemcy dokonywali już w obozach zbiorowych rekrutacji robotników. Zaliczano wszystkich zdolnych do pracy odrzuwając nawet matki od niemowląt. Dzieci zupełnie osierocone, lub w najlep-

szym razie pozostające na opiece zniedołężniałych starców są skazane na los najsmutniejszy. Głód, bezdomność, życie ulicy, staje się udziałem tych wojennych sierot. Były pociągi z dziećmi wywiezione w nieznanym kierunku, były gromadki dzieci zdrowych, używanych w szpitalach niemieckich dla transfuzji krwi.

Trudno określić dziś ile bezbronnych maleństw padło ofiarą ostatnich akcji pacyfikacyjnych w Lubelszczyźnie, ile spłonęło w domostwach, w których zamykano mieszkańców przed podpaleniem opornej wsi. Żydowskie dzieci zginęły wszystkie w komorach gazowych. Widziałam w zeszłym roku w Rzeszowie na stacji trzy pociągi straceń z ghetta warszawskiego. Przez zakratowane kolezastym drutem okienka bydlęcych wagonów wyglądali ludzie obłąkani strachem, obojętni już najczęściej z rozpacz. Najtragiczniejsze jednak były twarzyczki dzieci z zacięskawionymi i wesołymi nieraz oczami, drobiazgu, zdążającego z uśmiechem nieświadomości na straszną śmierć.

Potęga hitlerowska wypowiedziała walkę dziecku polskiemu i prowadzi ją konsekwentnie przez cały czas wojny. Bronią najbardziej skuteczną i groźniejszą w skutkach od mordów i wywózek jest stałe głodzenie dzieci. Przydziały wyznaczone dzieciom zaspakajają około 15% zapotrzebowania żywnościowego. Jakościowo przydziały te wykazują brak ponad 90% tłuszczu, 80% białka, 50 — 60% węglowodanów. Zupełny brak witamin pogłębia tragedię najmłodszych ofiar okupacji niemieckiej.

System kartkowy obejmuje tylko dzieci miast. Dzieci wiejskie głodują na przednówku, który obecnie zaczyna się nieraz już w marcu. Lekarze wielokrotnie stwierdzili wypadki śmierci głodowej, zwłaszcza na Podhalu. Puchlina głodowa wśród dzieci szerzyła się nagminnie w Małopolsce Wschodniej.

Spółczesność próbowała uchronić część dzieci przed puchliną głodową, przewożąc je do województw mniej dotkniętych. Dzieci siedziały skulone na wypożyczonych ciężarówkach, splanane po rozstaniu się z rodzicami, na szerniałych twarzyczkach malowała się najzupełniejsza obojętność. Ożywiały się jedynie na widok jedzenia. Lykały z błyskawiczną szybkością podawaną im zupełnie czarny gliniasty chleb. Po jedzeniu patrzyły łapczywie na dalsze talerze, zdawało się, że nie nie zaspokoili ich głodu, a zwłaszcza lęku, że jutro już nie będzie co jeść. Po kilku transportach Niemcy zabronili przewożenia, twierdząc, że "wszelki ruch ludności pogarsza sytuację żywnościową w Gubernatorstwie."

Badania lekarskie wśród dzieci szkolnych dały zastraszające rezultaty: w jednym ośrodku w grupie 964 dzieci szkolnych stale gorączkujących było 743, w grupie dzieci w wieku przedszkolnym na 475 badanych było 401 dzieci gorączkujących. Oczywiście w tych warunkach gruźlica zbiera obfite plony, a śmiertelność wśród dzieci wzrasta z dnia na dzień.

W pierwszych latach wojny społeczeństwo próbowało ratować dzieci, organizując przez opiekę społeczną sierocińce, kuchnie, kolonie i półkolonie, domy wypoczynkowe i dożywianie w szkołach. Ogromną pomocą w tej akcji były obozy amerykańskiej "Commission for Polish Relief." W r. 1942 ta akcja doszła do pięknych wyników i objęła 240.000 dzieci.

Niestety i ta lżyka stawy podana głodującemu dziecku wywołała "święte oburzenie" okupanta. "Niemieckie dzieci giną pod bombami — nie czas na pomaganie polskim sześcioletkom" odpowiada bez żenady w niemieckim "Abteilung für Soziale Fürsorge." Latem 1942 zlikwidowano wszystkie ośrodki pomocy dzieciom, nie pozwolono nawet na podawanie w szkołach kubka lichej ziemniaczanej zupy. Na wiosnę 1943 r. bezwarunkowej pomocy opieki społecznej domagało się 525 tysięcy dzieci wygłodzonych i półnagich — dziś liczba ta na pewno znacznie jeszcze wzrosła. Nie pozwolono nawet na organizowanie półkolonii bez dożywiania, ponieważż dzieci

w czasie zabawy, "maszerują i śpiewają patriotyczne piosenki." Dzieci polskie nie mają w swym kraju nawet prawa do zaczerpnięcia świeżego powietrza. Zieleńce, ogrody i nawet nędzne skwery są "nur für deutsche Kinder."

Dzieci polskie nie mają obrony Państwa, nie mają szkół ani własnego Ministerstwa Opieki Społecznej, ale te, które jeszcze nie są sierotami, mają najzłuszą i najpewniejszą opiekę matczyną. A matki w Polsce cudów dokazują, aby jednak na przekór wszystkim wyżywić i odziać dzieci. Nadludzkim trudem, mimo zupełnej niepewności losu, gromadzą żywność, wywalczając zarobki i opał w świecie opornym i wrogim.

Kobieta polska jest dziś żołnierzem w ogniu walki i wykazała w niezmiernie trudnych warunkach życia okupacyjnego ogromną dozę odwagi, wytrwałości, i zapobiegliwości. Dzieje tej wojny na wewnętrznym froncie, są nierozważnie związane z czynem kobiety polskiej. W obrzymiej większości wypadków kobieta pozostała samotniona. Mężczyźni wyszli na emigrację, zostali internowani za drutami jenieckich obozów, zginęli w obozach koncentracyjnych i w kaźniach więzień.

Kobiety czekają wiernie na nieobecnych mężów, pewne, że wrócą do nich ci sami. Kobiety nie uginają się pod ciosem żalobnych wia-

nym wieczorem do znajomych chłopów, przynieść pod ciągłym strachem rewizji, pobicia, więzienia — litr mleka, parę deka masła, i walczyć, walczyć dalej każdego dnia z anemią, z podgorączkowymi stanami niszczącymi zdrowie synka, z upadkiem siły staruszki matki. W najbiedniejszej rodzinie, póki nie braknie kobiety — oczy dziecka mogą z ufnością patrzeć na otwierające się wieczorem drzwi. Jakże te dzieci truchleją o bezpieczeństwo matek, jak starają się okazać swe przywiązanie. Ich zbyt rozsądne zachowanie napawa nieraz trwogą i najgłębszym żalem.

Miałam w swym najbliższym otoczeniu dwóch chłopczków, którzy stracili ojca w Manhausen. Starszy 10-letni stał się najczulszym opiekunem 5-letniego brata, i prawdziwym przyjacielem swej ciężko pracującej matki. W dniach rozpacz, po nadziei tragicznej wiadomości, zajął się małym tak troskliwie, że matka nie potrzebowała się o nic troszczyć. Uczył go pisać i czytać, sam poza nauką gimnazjalną na tajnych kompletach zarabiał wycinaniem zabawek z dykty. Czasem po pracy wracałam wraz z ich matką do domu. Chłopcy stali codzień pod drzwiami. Trzymali się za ręce, oczekując na dzwonek, obawiając się, że matka może nie wrócić.

Inny 4-letni chłopczyk, którego ojciec zginął w Oświęcimiu, żył



T.zw. "dzikie dzieci," które utraciły rodziców wskutek akcji wysiedleńczej

domości. Nie cofają się przed żadnym ciężarem i żadnym obowiązkiem. Osobno postaramy się jeszcze naszkicować sylwetkę kobiety, podziemnej bojowniczki o wolność: łączniczki, kurierki, dziennikarki, nauczycielki tajnej.

Więzione, wywożone, gnębione tak jak mężczyźni, są dziś trzonem rodziny i opiekunami starców i dzieci. Ciągłym trudem ponad siły dwa, a nawet trzy zarobkowe zajęcia, pozbawione pomocy służby domowej, piora, gotują, szorują schody, noszą węgiel /jeżeli jest.../ Uczą pozbawione szkoły dzieci. Żyją jedną myślą przetrwania i doczekania lepszych dni.

Panie, które przed wojną spędzały cały czas w kawiarniach, dziś zapomniały o istnieniu fryzjera i modystki. W ciemne, mroźne ranki biegają do pracy, stukając drewniakami. Wracają do domu obładowane torbami z cudem zdobytymi ziemniakami i kaszą. Kostnieją z zimna za ladami sklepów, stukają odmrożonymi palcami w klawisze maszyn do pisania, przeprowadzają niekończące się kombinacje handlowe i zamienne, i jednak — każdego dnia mają co dać dzieciom jeść.

Trochę marmolady do wiecznej jaglanej kaszy, trochę słodkiego soku do ohydnej jęczmieńnej siekanki wywoła radośny uśmiech na ustach dziecka i da matce szczęście dobrze udanego dnia. Długimi kilometrami warto wędrować póź-

w bezustannej bojaźni, że "Niemcy złapią mamusię." Co wieczór przeżywał stany lękowe przed położeniem się do dużego francuskiego łóżka, w którym sypiał wraz z matką. Gdy raz zaniepokojona rozszereżonymi ze strachu oczami dziecka, próbowałam mu wytłumaczyć, że nie powinien bać się nocy, odpowiedział: — "Zawsze śni mi się, że zabrali mamusię, muszę dopiero "nogą popatrzeć," że to nieprawda, ale i tak muszę płakać." Maleńki nie zdawał sobie zresztą sprawy z utraty ojca. Tłumaczył matce: — "Nie płacz, tatuś teraz umarł, ale po wojnie wróci do nas." Śmierć ojca w dalekim obozie nie była dla niego rzecz wstępną, jednak lęk o jedyną opiekunkę był ciężarem ponad siły dziecka — jednego z tysięcy dzieci polskich w tej sytuacji.

Pierwszą troską naszą po wojnie musi być przywrócenie dziecku jego własnego, szczęśliwego, i beztrudnego świata. Nie wskresimy tysięcy dzieci poległych w nierównych walce z okrutnym i podłym wrogiem, ale możemy ogrzać, nakarmić i odziać biedactwa wychudzone, wynędzniałe i wstrząsane dreszczem gorączki. Wielkich trzeba będzie wysiłków, żeby przywrócić nie tylko rumieńce na szerniałe z głodu twarze, lecz i beztrudny uśmiech do przerażonych i splananych oczu.

MARIA BRZESKA



W obrabowanym mieszkaniu

Nad wielką wodą

B.D.I.C.

II*
O Coastal Command mówią powszechnie, że nie ma żadnych przywilejów floty, a wszystkie uatrapienia lotnictwa. Bóg jeden wie i my sami, ile w tym ponurej prawdy. Warunki zresztą są tylko kwestią przyzwyczajenia — życie ma inny smak, gdy się doń wraca po pracy. Inaczej wtedy śmieją się kobiety i inny jest zapach perfum, a nawet słońce, zwykle słońce inaczej świeci w Londynie, niż u nas. Choć może nie jest tak bogate w piękno, jak w dzień pogodny na Atlantyku.

Ten urok pracy i powrotów nęci, przyciąga jak narkotyk. Bez niego życie jest niepełne i głuche. Bez niego życie w ogóle nie ma sensu! Wzięc tu, w odległych światach znoju, w zapomnianych zakątkach

lyszają jak do snu pomrukiem silniki i wabią oczy barwne, fantastyczne kształty chmur. Słowo w słuchawkach jest groźbą — groźbą walki na środku Atlantyku.

Lotnictwo Obrony Wybrzeża pokryło siecią swych patroli Biskaję, pokryło i Atlantyk. Zrobiło to tak dokładnie i sumiennie, że następca Raedera, Grossadmiral Doenitz, rwał sobie włosy z głowy. Coastal Command pokazała co umie: niepokonany dotychczas, podwodny korsarz mórz, znalazł przeciwnika. Zaczęły nie wracać okręty podwodne. Początkowo pojedynczo, z rzadka. Później coraz częściej i częściej. Atlantyk zrobił się mały — nie było dnia, by okrętów nie atakowano. Na miejsce zestrzelonych "Wellingtonów" i ich nowszych

kiedyś hold tym naprawdę bohaterom. Dzięki nim druga runda walki o Atlantyk została wygrana. Pojedyncze "paczki" okrętów, które mimo wszystko okrężną drogą przesiąkały w strefy operacyjne — konwojów, umiejscowione i "plotowane", przestały być groźne dla wyczętej i ruchliwej eskorty. Zresztą tam równie dobrze czuwał wszędzie obecny i szybki samolot z baz lądowych lub lotniskowca konwoju.

Przyszedł ponowny rozkaz powrotu wszystkich niemieckich okrętów podwodnych do baz — szans walki nie było prawie żadnych. Ustaly meldunki o sprostżonych okrętach podwodnych. Samolot zwyciężył.

Gdy jesień 1942 roku była rekordowym okresem zatopień tonnażu Sprzymierzonych przez niemiecką ofensywę podwodną, już pierwsze miesiące zimowe tegoż roku dały wyniki pracy Coastal Command, ograniczając wydatnie straty. Co więcej, wzrosła liczba okrętów zniszczonych przez samoloty.

Pierwsze miesiące wiosny 1943 roku pogłębiły ten obraz jeszcze bardziej, składając straty niemieckiej floty podwodnej w większości, w ręce lotnictwa. Navy zajęła rolę biernego świadka tych zapasów, "Paczki" okrętów podawano sobie z rąk do rąk, w zależności od zasięgu patrolujących poszczególne rejony maszyn. Po prostu "wykańczała" okręty będące poza zasięgiem lotnictwa. A zasięg ten był bardzo duży.

Tymczasem w niebie zmagano się o przewagę w powietrzu. Weszły do akcji nowe eskadry Luftwaffe. Zaczął się akt trzeci tragedii atlantyckiej.

W bitwie tej, toczony nad ogromną przestrzenią wód i chmur, gdzie wypiętrzone cumulusy były tak samo schronieniem, jak i kryjówką do ataku, przemykały się ostrożnie maszyny badające każdy cal, każdą milę kwadratową przestrzeni w poszukiwaniu samolotów wroga. Załogi porwaczące z lotów miały obolałe, opuchnięte od wypatrywania oczy.

A Niemcy hulali! Wychodzili w morze siłą, dufni w przynajmniej przewagę sprzętu, ilości i uzbrojenia; botatersey wobec samotnych "Wellingtonów". Zdarzało się, że nawet "Liberatory" z Bardzo Dalekiego Zasięgu atakowane były przez formacje myśliwców niemieckich w składzie dwanaście maszyn i więcej!

Nasi myśliwcy dwoili się, troili, kleli w sposób straszliwy, lecz nie mieli szczęścia. Niemcy dysponując zaskoczeniem taktycznym, zjawiali się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewał, i znikali jak duchy. Doszło do tego, że spędzili nas z dnia, zostawiając go szybszym i lepiej uzbrojonym kolegom. Przeszliśmy w noc.

W Dyonie pamiętano ostrzeżenie zaginionych załóg i latano indywidualnie, "na nosa." Ogólną zasadą było: za wszelką cenę nie dać się zaskoczyć! To był jedyny, możliwy ratunek. Ciężkie to były dni, gdy wielogodzienne loty schodziły w nieustannym czuwaniu na najwyższej granicy napięcia nerwów. Na krańcach wydolności fizycznej. Sąsiedni dywizjon angielski, miał nowe straty i kilka ciężkich, cudem przetrzymanych spotkań. Aż przyszedł dzień, który przełamał passę niepowodzeń i otworzył ostatnią już chyba, wspaniałą kartę Bitwy o Atlantyk.

Dnia 6 września oficer służbowy Dyonu wpadł na śniadanie jak bomba: — "Nasza 'Emka' nadała S.O.S. Wiecie?" i wypadł za drzwi nim kto zdążył zapisać o szczegóły.

Nad lotniskiem rozgrywała się tragedia. Cichy, prawie bezimienny epos, który w życiu lotni-

czym się nie liczy, który jest chlebem codziennym, oczywistością. Konflikt instynktu życia z poczuciem obowiązku i przywiązaniem do maszyny. Pewnego rodzaju fair play, która nigdy nie będzie zrozumiana przez ludzi, którzy nie latali.

Ratowano śmiertelnie rannego "Wellingtona" na ostatnich kroplach paliwa. Przez kręgi eteru płynęły szybkie pulsy fal, niosące prośbę i odpowiedź — radę. Mikrofon w Flying Control drgał dramatycznie. Słowa padały wolno i jedwabnie, pieściły się w pełne, dźwięczne kształty. Mikrofon chłonął odpowiedzi i niósł w powietrze.

— "...hallo" "M" for mother
— "M" for mother—you may land
— you may land... we are ready."

jęcych, objęły całą maszynę, spętały. Gwałtowny unik, jeden, drugi. Znowu seria, powietrze wyżarzone ogniem. Chmura, cien — i, koniec chmury! Znowu ogień, strzelają strzelcy. Smród swąd, trzask i płomień. Wali się do wody "Ju. 88," z boku nowe dwa i z przodu i z tyłu! "Wellington" wije się w cudacznych skrętach, świetne ogniki pocisków krzyżują się ze wszystkich stron. Pryska odstrzelona kopułka astro — w ustach smak krwi. W płomieniach idzie w dół zestrzelony "Ju. 88." Strzelcy strzelają. Nowe serie... Uniki... Uniki Chmura. Cień! Łagodny skręt na "jedynek." Bezpiecznie...

Nikt nie powiedział nawet słowa, nawet nie zdążył otworzyć mikrofonu. Do bazy poszło tylko



Startujący "Wellington"



W stronę "wielkiej wody"

foto Krydner

globu, gdzie teżeje wola i hartuje się charakter człowieka, rodzi się radość. Prymitywna, ludzka radość zamknięta między materialnym światem zmysłów a metafizycznym światem Boga. Radość życia.

Tu, na krańcach bocznie kolejowych, w poświęcie wicherów i skośnych strugach deszczu, na zapadłych, odciętych od świata Stacjach, żyje Lotnictwo Obrony Wybrzeża. Żyjemy my. W przewiewnych, zimnych "beczkach smitechu" gnieździ się ad infinitum, bo tak mniej więcej długo trwa nasza operacyjna tura.

Jak mówi żart, nawet Bóg przychodzi do nas tylko raz w tygodniu — ze Mszą Św. Poza tym pustka, skały dzikie, utopione wśród skał lotnisko i mewy. Mewy, które krzyczą ludzkimi głosami.

W tej rozmokłej, pozornie przeziębionej niezmiennie nudzie pracy i otoczenia, płynnie włącza automatów, ciągle niezmiennych zadań, zawsze tych samych dróg. Drog wytyczonych w nierealnym świecie rozpiętym między niebem i wodą. Z rzadka przerwie ją palba broni maszynowej, czy ożywi łoskot rzuconych w ataku bomb. Jak w piekielnym zegarze wyznaczonym na dni i miesiące, kręci się życie w kołowrocie startów, patroli i powrotów. Gdy morze wciąż jest to samo, ironiczne i groźne.

Czy słońce świeci, czy deszcz pada, w gęstej mgłę, czy mroźnych szkwałach sunie korowód maszyn w dalekie, odległe wody na loty po godzin dziesięć, piętnaście i więcej! Z jedną wiarą, z jedną nadzieją, że przeciw silnik nie zawiedzie, że bomby celnie wybuchną. Tak jest — dniami i nocą.

Nie mamy możliwości ucieczki, niepotrzebne są nam spadochrony. Nie znamy przymusowych lądowań — Atlantyk jest wielki. Zawieszona w przestrzeni załoga na setki mil od bazy zdana jest tylko na własne siły i sumiennosc mechaników. Na zręczność nawigatora i oczy strzelców. Tu, błąd popełnia się tylko jeden raz, a każdy galon paliwa jest substancją życia.

I idą maszyny, muszą iść, bo dzień za dniem i noc za nocą wychodzą z portów niemieckie okręty podwodne i przecinając nam traki idą na żer. Płyną na Atlantyk. Więc "Wellingtony," "Liberatory," "Halifaxy," "Cataliny," i "Sunderlandy" idą w odległe przestrzenie mórz, by szukać zwodnego celu, którym jest krzyżki na mapie w otoczeniu grupki cyfr — szlakiem, kreślonym cienką linią na białej karcie papieru.

W maszynie cisza. Jedynie ko-

kolegów Bardzo Dalekiego Zasięgu, zjawiali się zaraz następne i choć atakowane zaciekle z powietrza i wody, dociskały coraz dokładniej żelazną obręcz patroli na Biskajach.

Przed sztabem niemieckiej admiralicji powstał problem, jak wyjść na Atlantyk? Jak przebić się przez sieć dozorowania? Okręt musi wynurzyć się, by podładować akumulatory, musi wyjść na powierzchnię, aby odnowić zapas powietrza — lecz tam, w górze, czekają samoloty! Na niegroźny, prawie bezbronny w wynurzeniu okręt podwodny.

Uzbrojono więc okręty potężnie, sprzężoną bronią maszynową i dano rozkaz walki na powierzchni. Ale okręty ginęły. Zmieniono taktykę i nakazano walkę w szykach zaporą ognia. Okręty ginęły nadal. Przyszły czarne dni ofensywy podwodnej Niemiec. Wyjście w morze równało się prawie samobójstwu. Okręty bez przerwy tropione, atakowane i niszczone, trzymane w ustawicznym napięciu i gotowości bojowej, ogłuszone wybuchami bomb, jeśli zdołają przedrzeć się na Atlantyk, zmęczone bezsennością i czuwaniem stawały się łatwym już łupem dla czekającej na nie Floty. I konwoje bezpiecznie przekraczały Atlantyk.

Czasy te, to najpiękniejszy epos bohaterski Coastal Command. Okręt przestał być wobec samolotu bezbronny masą żelaza, niezdołną do walki na powierzchni. Został uzbrojony i to w broń śmiertelną, tak groźną dla atakujących ją samolotów, jak torpeda dla statku. Kroniki Coastal Command zapełniły się opisami wstrząsających walk, gdy okręty gniocone wybuchem bomb tonęły, a obok nich w rozlewisku palącej się benzyny, płonęły zestrzelone przez nie samoloty. Zaczęła się walka "na wymianę": okręt za samolot, samolot za okręt. Walka bez litości i bez pardonu, w której decydowały tylko: śmiałość ataku, zręczność i determinacja. W której częstokroć atakujący i atakowany szli wspólnie na dno, zbratani śmiercią.

Skrzętni historycy spisujący dzieje tych wielkich dni oddadzą

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3569 książek

S.O.S.

"Wellington" dowiółk się do lotniska, resztką sił. 116 przestrzeleń z działek i k.m., zablokowana przednia wieżyczka, zniszczone astro i zegary pilota. Zniszczone podwozie i hydraulika.

Tak wyglądała ta walka, typowa dla Coastal Command! Dzwoniły telefony do Grupy, niosły szczegóły, pozyceje, fakty. I dopełniły obrazu zasadki taktycznej wroga. Przełamały passę niepowodzeń.

W kilka dni później Polski Dywizjon Myśliwski w Coastal Command odniósł pierwszy, wielki triumf nad wodami Atlantyku, zestrzelując 5 "Ju. 88" i 1 "Me. 110" na pewno, prawdopodobnie 2, a 4 uszkodzając. Powtórzyły go i powtórzyły go później /choć nie w tak bogatej osnowie/ Dywizjony Angielskie.

Wojna na Biskajach weszła w nowe stadium. Stadium, w którym niemiecka flota podwodna po powrocie do baz przebroiła się do nowej wojny i nowych warunków, jakie ostatnie miesiące stworzyły na Atlantyku. Do wojny radiowej.

Kiedyś do tego powrócę, dziś jeszcze na to nie czas, ta karta wciąż leży otwarta. Można jednak już dziś powiedzieć spokojnie, że niemiecka ofensywa podwodna załamała się ostatecznie i czasy sprzed roku w tej wojnie już nie wróca. Wyścig nauki i techniki trwa, lecz nie ma takiej broni i nie ma takiego środka, którym by okręt podwodny mógł zaszachować samolot. Dziś już nie istnieje możliwość, by okręt podwodny mógł niepostrzeżenie przejść przez Atlantyk. Samolot z baz lądowych zaczyna opanowywać morza!

Dywizjon nasz Ziemi Śląskiej, tradycję swą wywodzący z Bomber Command, lata w Coastal Command od maja 42 roku. W ciągu swej pracy zrzucił na cele w Niemczech, Francji, na porty, okręty i okręty podwodne:

1,226,671 funtów bomb — sapientii sat!

Stoczył 34 walki z myśliwcami wroga.

Atakował 21 okrętów podwodnych!

Z walk tych wielu wyniosło na piersiach krzyże i wiele krzyży ujęło w cien swój kolegow, którzy odeszli... Lecz wielu, bardzo wielu zostało tam, gdzie ni krzyża, ni znaku dla nich nie stanie, gdzie wiatry dzikie chłoszczą fale szalone. Wśród zimnych, spienionych wód Atlantyku.

NA WIELKIEJ WODZIE

Pisane w Kornwalii, w listopadzie 1943.

JERZY GŁĘBOCKI

Żołnierze polscy we Włoszech

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

Na komandosowskim szlaku



Polski "commando"

Za dwie, trzy godziny miał być świt. Nieprzyjaciel wciąż jeszcze trzymał pierwsze pasmo wzgórz. Po pięciu godzinach walki byliśmy wciąż w dolinie. Przeszliśmy przez oddziały brytyjskie i dochodziliśmy do podnóża góry. Należało opanować grzbiet dominujący nad wioską Sujo. Zadanie proste. Zadanie, o które się rozbiły dotychczasowe wysiłki.

Dowódca kompanii zdecydował, że nasz pluton pójdzie na tę robotę. Reszta kompanii otrzymała inną pracę. Od zdobycia tego grzbietu zależało dalsze powodzenie natarcia i możliwość łatwiejszego opanowania sąsiednich wyniosłości. Od powodzenia tej akcji uzależniony był stosunek sztabu dywizji do nas Polaków. Wreszcie od wykonania zadania zależały nasze życia.

W głowie szumiały mi słowa kapitana: "W pierwszym rzędzie

pamiętaj, aby wykonać zadanie." Każdy z nas musi wykonać zadanie, jakie mu jest powierzone, bez względu na to, co go czeka. Wykonać zadanie, wykonać zadanie, a przede mną prawie spadziasta ściana tego wzgórza, porośnięta gdzieniegdzie dzikimi krzewami, gdzieniegdzie zaś pokryta porzucanymi głazami, cudem zwisającymi nad przepaścią. Bardziej w prawo łagodniejsza ściana na szerokość do stu metrów, dalej przepaść, po czym znów nowa ściana zbiegająca się z naszym wzgórzem gdzieś przy wierzchołku.

Nie jeden już próbował podejść od tamtej strony, lecz bez powodzenia. A nieprzyjaciel stał się czujniejszy, choć był zarazem podenerwowany. Ogień jego stał się mniej celny, częstszy i częstokroć niepotrzebny. Byli to jednak weterani spod Stalingradu, uzupełnieni świeżym żołnierzem — jak zdążył

nam donieść nasz wywiad. Jednym słowem groźny i zacięty przeciwnik siedział w tym gnieździe nad naszymi głowami.

Szykowaliśmy się do pracy. Porucznik szeptem wydawał ostatnie zarządzenia: — Drużyna trzecia w tyralierze w prawo — drużyna czwarta z lewej strony.

Tymczasem ubezpieczał nas *bren* czwartej drużyny — sam leżałem przy nim. Nasz "brenanista" był starym sportowcem, bokserem w dodatku i raz rozruszany stawał się strasznym zapaleńcem. Ja będąc flegmatykiem z natury hamowałem jego porywy. Jednym słowem uzupełnialiśmy się doskonale — jeśli dodam jeszcze, że "Bouboule" był trzecim w naszym zespole i jak oka w głowie pilnował swego towarzysza, ten zaś myślał o "Bouboulu" miękko nieco i czekał na grubasa, a zarazem ubezpieczał jego posuwanie się.

R.k.m. naszej drużyny posuwał się na lewym skrzydle. Drużynowo był wszędzie gdzie tylko "coś" mogło być, choć zasadniczo trzymał się z resztą drużyny, z naszej prawej. Batrząc w górę widzieliśmy dokładnie zarys każdego kamienia i krzaka. Serca w nas zamarały. Przez myśl przeszło mi pytanie, czy oni tam na górze równie dobrze widzą, jak i my. Nie powinni, bo to przecież noc... Ale ten księżyc co nam w plecy świeci?... Nie śmiałem odwrócić się do tyłu, nie chciałem przekonać się czy widzą. — I tak to nic nie pomoże — pomyślałem. Byłem raz jeszcze na stromym wzniesieniu, u którego szczytu leżało Zadanie.

Spod buta któregoś nas wyslizgnął się kamyk. Postacie nasze na chwilę zamarały. Czy on tam posłyszał? Pytanie to przemknęło przez myśl nas wszystkich. C.k.m.-y grały w oddali z lewej i prawej, w dolinie moździerz, u nas pannaowała cisza. Cisza niezakłócona.

Po chwili ruszyliśmy dalej. Słiznęliśmy coraz ostrożej i coraz wolniej, a szczyt był coraz bliżej. Niebezpieczeństwo też się zbliżało, lecz nikt z nas już w tym momen-

cie o tym nie myślał. Sztylety nasze wyraźnie zarysowały się na lewej nogawicy *battle-dressu*. Już ponad miesiąc bijemy się z nieprzyjacielem, a jeszcze ani razu nie było sposobności użycia noży.

Całkiem na prawym skrzydle trzecia drużyna z równą sprawnością posunęła się naprzód. Wspólnie zaczęliśmy docierać do ostatnich przeszkód dzielących nas od stosunkowo płaskiego szczytu. Ruch był coraz wolniejszy, postacie nasze przyklepały się do skałek, krzaczków coraz to rzadszych a oczy dziwnie każdemu błyszczały. "Szansik" był chyba z nami — a może Niemcy nas tylko podpuszczali i zaraz z jednego z tych krzaków zigną ogniem.

Zaczęliśmy już iść prawie na czworakach. Przed nami stopniowo zarysowywały się nowe szczyty, potem góry całe. Siedzieliśmy na samym szczytce. Czyżby nieprzyjaciel się wycofał? A może wcale go tu nie było?

Zająłem stanowisko z lewej strony szczytu. Przede mną jakieś dwadzieścia kroków piętrzyło się samotne drzewo. Wokół porastały krzaki. "Brenanista" i ja spoglądaliśmy w tę stronę. Od lewej, tuż nad wąwozem ubezpieczał nas Antoś. Zastanawiałem się, co dzieje się na naszym prawym skrzydle, ciekawiło mnie gdzie jest ich *bren* i co mają przed sobą.

Jeszcze te dwadzieścia kroków pozostało nam do przebycia. Może nam porucznik przesłał jakiś rozkaz w tym czasie? Wiedzieliśmy dobrze co mamy robić, a jednak oczekiwaliśmy czegoś, co nie nadchodziło. Czegoś było nam brak.

— *Hände hoch* — krzyk rozdarł ciszę nas otaczającą. Padła seria z *bren-gun'a* na naszym prawym skrzydle. Wiedziałem już gdzie jest Franek, ten stary wyjadacz z Legii Cudzoziemskiej, co tylko w diabła i swój *bren* wierzył. Wiedziałem również co on ma przed sobą.

— *Halt, wer da?* — odezwał się ktoś zza drzewa a za tymi słowami posypała się seria ze "Spandau'a."

— Ognia — rozkazałem i nasz *bren* splunął seryjką po seryjce. *Tommy-gun'y* zaczęły szczebrać a z tamtej strony zapanowała cisza. Coś *bren* trzeciej przestał grać — pomyślałem — pewno zacięcie. Wtem padł jeden granat, drugi i trzeci coraz to bliżej nas. Na nowo odszczekaliśmy krótką serią. Jedną tylko, gdyż nastąpiło zacięcie.

Nowa cisza zapanowała. Z prawego skrzydła drużyna trzecia obchodziła stanowisko nieprzyjaciela. My mieliśmy w razie czego dać osłonę ogniową. Za niecałą godzinę nastąpi świt. Zaczynało już zarzać.

Trzecia drużyna weszła na stanowisko nieprzyjacielskie. Kolejno zbadano każdy krzaczek i kamyk, lecz Niemcy uciekli porzucając broń i zostawiając dwa trupy. Ten "Frankowy" pierś miał rozdarta a na niej widniał *Eisernes Kreuz*. Parę kroków od niego porucznik schylony wraz z naszym doktorem udzielali komuś pomocy. Któryś z trzeciej widocznie został trafiony.

Pierwszy pluton zmienił nas na stanowiskach. Było już jasno. Szedłem wycpać gdzieś między krzakami czy skałkami. Po drodze napotkałem rannego — miał rękę przetrzoną i kość złamaną. Był to nasz legionista Franek. Przystanąłem i spytałem jak to tam było.

— Ano tamoj siedzę za skałką, widzę naraz idzie gość w naszym kierunku i helm niemiecki zabył w świetle księżyca. Krzyknąłem *Hände hoch*, ale on szedł dalej, na to pociągnąłem za spust — trrr — seria poszła a on machnął koźlą w powietrzu i zrobił fik-fik. Rozglądałem się dalej i zobaczyłem następnego, ale go jeszcze dobrze nie rozpoznałem, gdy wtem sam od niego dostałem i tylko: "Dżimi, bierz r.k.m." — zdążyłem zawołać i padłem.

Opatrzony Franek odszedł wolno do tyłu. A nas czekało tego dnia nowe zadanie, nowa góra i nowe natarcie.

JERZY JACHIMOWICZ

We włoskim porcie



Pokład polskiego kontrtorpedowca

We Włoszech, w lutym 1944

Kiedy do portu... przybywa większy konwój morski, a dzieje się to ostatnio co kilka dni, wtedy ruch panuje nie tylko w porcie, ale też i miasto zmienia swój codzienny, na pozór zdawało by się spokojny, wygląd. Przybysz, w mundurze żołnierza polskiego może nie spodziewanie wśród statków włoskich, angielskich, amerykańskich, francuskich, holenderskich i greckich zobaczyć znajomą banderę biało-czerwoną z polskim orłem.

Był taki dzień w porcie... kiedy stały w nim aż trzy polskie jednostki. Na molo, do którego przybił "Batory," panował wielki ruch. Wyładowywały się od samego ra-

na polskie oddziały.

Po kilkuminutowym spacerze przekonałem się jednak, że "Batory" nie jest jedynym gościem polskim w porcie... Koło mnie stało trzech rosyjskich chłopców o czerach spalonych słońcem i wiatrem. Na marynarskich czapkach mieli napis: "Polska Marynarka Wojenna."

Rozpoczynamy rozmowę. Moi rozmówcy należą do załogi dwu polskich kontrtorpedowców: "Słazak" i "Krakowiak." Przyjechali dziś, jako ochrona tego samego konwoju, w którego skład wchodził "Batory." Za parę godzin znów pewnie pojedą dalej. Tak od ośmiu miesięcy płyną od portu do portu na Morzu Śródziemnym, a o-

statnio ochraniają konwoje wiozące polskich żołnierzy.

Gdy rozmawia się z nimi dłużej, odnosi się wrażenie, że to jacyś inni ludzie. Bez przerwy są na morzu, walka z nieprzyjacielskim okrętem podwodnym, nieprzyjacielskim okrętem wojennym, czy samolotem — to ich żywioł. Choć okręty ich zarzucały kotwicę już w każdym porcie śródziemnomorskim, nie wiele z ładunku widzieli. Przybijają do brzegu na kilka godzin tak jak dziś i natychmiast odjeżdżają. Od wielu miesięcy nie mieli urlopu. Na swych okrętach wożą wszystko, co jest im potrzebne do życia. Słuchają codziennie radia, zwłaszcza polskich komunikatów i w ten sposób wiedzą, co się dzieje na świecie. Gazety polskie przychodzą do nich rzadko, czasem trafi się jakaś w porcie. Od czasu do czasu wraz z pocztą z Londynu przyjdzie pakiet pism.

— Byliśmy w Rosji — opowiada mi dwu spośród nich. — Gdy zwolniono nas z więzień, mieliśmy 20 lat. Zgłosiliśmy się do wojska. Byliśmy w Kermine w t.zw. punkcie zbiorczym marynarzy i lotników i z pierwszą ewakuacją wyjechaliśmy do Persji, a stamtąd od razu do Anglii. Kurs w szkole morskiej trwał bardzo krótko. Więcej nauczyliśmy się w czasie samych działań wojennych. Braliśmy udział w pamiętnej wyprawie komandosów na Dieppe. Później patrolowaliśmy konwoje, wzdłuż brzegów zachodniej Europy, a od ośmiu miesięcy płynamy po Morzu Śródziemnym.

— I nie nudzi się to życie? — Pewnie, że czasami chciało by się trochę wysiąść na ląd, ale morze ciągnie. Dziś już nie wyobrażamy sobie życia bez niego.

— Ciekawa rzecz — mówi jeden z nich. — Większość naszych załóg to właśnie m'odzi, jak my, którzy morza nie znali. Jesteśmy z okolic dalekich od morza, ja ze Skierniewic, kolega spod Krakowa. Na-

szą ambicja obecna to dopłynąć na polskich statkach do Gdyni i zostać na Bałtyku. W czasie naszej pracy wiele skorzystaliśmy z uwag i pomocy naszych kolegów — starych wilków morskich jeszcze z Polski. Patrzyli na nas początkowo z góry i nie dowierzali nam. Dziś jesteśmy zgraną i kochającą się gromadą.

Kierujemy teraz rozmowę na inne tematy. Jak wygląda wojna na morzu, niebezpieczeństwa.

— Teraz jest już prawie spokojnie — mówią. — Ale jeszcze do niedawna ciągle spotykało się okręty podwodne i samoloty nieprzyjacielskie. W czasie tych 50 tys. mil morskich, które nasze oba kontrtorpedowce przebyły /bo płynamy zawsze razem/, stoczyliśmy wiele walk. Mieliśmy na swym pokładzie bardzo wielu "gości" niemieckich z zestrzelonych samolotów lub zatopionych okrętów.

Jeden okręt podwodny goniliśmy kilka dni od brzegów Malty do Gibraltaru. Żeby zatopienie okrętu lub zestrzelenie samolotu zaliczyć na swoje konto, trzeba przywieźć namacalnie tego dowody. "Słazak" jest teraz na pierwszym miejscu spośród wszystkich alianckich kontrtorpedowców w klasyfikacji zatopionych okrętów podwodnych nieprzyjaciela.

Do rozmowy wtrąca się trzeci "wilk morski." Wyjechał z Polski przed dziesięć laty do Kanady. Gdy tylko wybuchła wojna, zgłosił się z wielu innymi Polakami do wojska jako ochotnik. Brał już udział w ośmiu ewakuacjach wojsk brytyjskich i innych z Dunkierki w r. 1940. Później przeniesiono go do załogi polskiego okrętu i od czasu Dieppe losy jego są takie same, jak i dwu pozostałych kolegów.

— Opowiedzcie coś panu o Sycylii, o desancie na Włochy. To na pewno pana zainteresuje — mówi.

Słuchamy.

RYSZARD MOSSIN

Bez blackoutu

Niedawno, właśnie w momencie bardzo trudnym dla nas, w kilka dni zaledwie, po mowie premiera Churchilla, miałem możliwość bezpośredniego zetknięcia się z naszymi żołnierzami "w terenie," miałem możliwość obserwowania ich reakcji, przeprowadzenia rozmów. Myślę, że "Polska Walcząca" jako jedyny tygodnik żołnierski, a może i... cywilny na terenie Wielkiej Brytanii, reprezentujący przerezonowane szeregi prasy polskiej na tym teatrze "wojny nerwów," będzie szczerze zainteresowana takim na gorąco zrobionym, choć na zimno podanym reportażem z obozów.

Żołnierz nasz, który przez okres kilku lat, poczynił ogromne postępy na odcinku pogłębienia duchowego i kulturalnego, ma dzisiaj swoją własną ocenę rzeczy, swój twardy, zdrowy osąd, poszczycić się może znacznym wyrobieniem politycznym i społecznym. Pierwszą reakcją na mowę Churchilla, który urosł w legendzie żołnierskiej do ideału najbardziej sprawiedliwego, odpowiedzialnego opiekuna o jowiwalnym uśmiechu i gotębim sercu — było z d z i w i e n i e. Wielu nie wierzyło, wielu na własną rękę tłumaczyło sobie na "język polityczny" tekst tej mowy, szukając między wierszami ratunku dla troskliwie i serdecznie hodowanej wiary. Rozmawiając z nimi, pojęciem dopiero zasięg i rozmiar niewiarygodnej popularności i sympatii, jaką zdobył wśród mas żołnierzy polskich premier Wielkiej Brytanii.

Trzeba jednak szczerze wyznać, że w wielu wypadkach zdziwienie to przemieniało się w gorzkie rozczarowanie lub w nietajony żal, pełen głośnych wyrzutów. Kto wątpił kiedykolwiek w wartość żołnierza, przebywającego czwarty rok na wyspie brytyjskiej, ten właśnie musiał nabrać dla niego szczególnego respektu. Ogół żołnierski bowiem wykazał ogromne opanowanie, dał dowód wiary w sprawiedliwość, dowód zbiorowej dojrzałości politycznej, rzadko spotykanej w dużych zbiorowiskach Polaków.

Większość żołnierzy odruchowo siadała w kantine, czy świetlicy i — najlepiej "umiana" — angiel-szczyzną czy... "szkocizną" pisała listy do znajomych brytyjskich, do matek chrzestnych, do sweet-heartów, pisała wykładając swój żal do przyjaciela brytyjskiego, nie tracąc wiary w jego przyjaźń. Ten niezorganizowany, naturalny odruch — miał momenty wzruszające. Jeden z "korespondentów" opisywał piękno swego rodzinnego miasteczka na Kresach Wschodnich i zapytywał, czy jakiś Jim wyobraża sobie odebranie mu na zawsze jego rodzinnego Forfar, drugi, który stracił rodzinę i dom, pytał, czy jedyna rzecz, a więc miasto rodzinne, które mu pozostało, też będzie mu odebrane po tej wojnie, w czasie której tak wiele mówi się o sprawiedliwości i wolności.

W tych dniach właśnie pokazało się, jakim samorzutnie zorganizowanym a potężnym aparatem dysponują szeregi żołnierskie. Aparat ten przekształca się w razie potrzeby w doskonałe funkcjonującą propagandę — przed kominkiem szkockim, tym razem okazał się on narzędziem patriotyzmu i zdrowej myśli narodowej. Szły te listy masami, rozładowywały żal w słowach może niezawsze udolnie i "cor-

rectly" napisanych, wyzwały go rycz, szukały oparcia.

Żołnierz w tym momencie nie wątpił i, jak mało kto inny na tym terenie, wykazał, że przyjaźń polsko-brytyjska oparta jest o głębokie i twarde podstawy.

Żołnierz oczekiwał informacji... W świetlicach widzieli się ludzie, którzy w tych dniach w godzinach wolnych od zajęć nie odstępowały od radioodbiornika. Słuchano wszystkich komunikatów we wszystkich językach świata, wyciskano z odbiorników ów radiowych ostatnich "dech"... Pragnienie usłyszenia czegoś pocieszającego, a może tylko wyjaśniającego zaćmioną rzeczywistość polityczną było ogromne, nienasycone.

Widziałem kilku żołnierzy zastuchanych w komunikacie... holenderskim. Jeden oknął się: — "Po jaką cholere tego słuchamy?" — i chciał zamknąć radio. Inny pouszturzył go: — "Czekaj. Może będzie gadał Polak, może coś się stanie." Szkoda, że w tym momencie Radio Polskie tak mało mogło powiedzieć żołnierzowi polskiemu w Szkocji. Szkoda! Zdajemy sobie sprawę z trudności, zdajemy sobie sprawę z tego, że korzysta ono z gościny B.B.C., a jednak kilka krótkich pogadarek — rozumnych, w miarę

szczerych, nadanych w tym samym dniu lub w tych dniach "gorących" byłoby na pewno spełniło swoje zadanie.

Żołnierz bowiem w tym momencie był samotny, oddany własnym myślom i przypuszczeniom. "Pogotowie ratunkowe" w postaci XX. Kapelanów, których trudna a uszechstronna działalność jest nieoceniona, oraz wysiłki oficerów opieki, to właściwie tylko pierwsze obandażowanie ran, zadanych prosto w serce — wbrew wszelkim pesymistom — serce żołnierza ciągle bardzo gorące i bardzo czujne. Nie myślę o zastrzykach optymizmu; idzie o podtrzymanie w takich wypadkach wielkiej arterii żywotnej, o którą sam żołnierz bardzo dba — o podtrzymanie wiary i o rozsądne a szczerze omówienie sytuacji.

Jeżeli powiedziałem, że żołnierz był samotny w pierwszym momencie uderzenia wiadomości politycznej, to nie po to, by czynić komuś wyrzuty. Doskonale potrafimy się wstawić w położenie tych, co mieli z tytułu pełnionego urzędu czy obowiązków coś powiedzieć na ten temat. Zrozumieć i znać trzeba dobrze "maszynę urzędową," która ma ruszyć z takim wyjaśnieniem. To wszystko strasznie długo trwa a godziny mijają, czasem mijają dni... Nic dziwnego, że komu-

nikat holenderski słuchany jest z przegrzanego odbiornika chciwie, choć odruchowo: aby słuchać, aby nie zatracić kontaktu z informacją i rzeczywistością polityczną.

To, że właśnie w tym momencie znalazł się na terenie niektórych oddziałów w Szkocji teatr żołnierski, który mógł i czuł się w obowiązku mówić o rzeczach aktualnych, a wiele nieudomówień i żalów rozładowywać w śmiechu — to było raczej rzeczą przypadkową. W takich bowiem chwilach otwiera się — według mego zdania — pole działania dla programu radiowego dla żołnierzy, operującego w zasięgu tysięcy słuchaczy. Zadawniona, stara luka. Prasa żołnierska może również spełnić swoje zadanie, ale z konieczności działa już na zimno, przychodzi po okresie "samotności" żołnierza.

Czas przejściowy, to znaczy czas pomiędzy uderzeniem aktualnej wiadomości politycznej, a pomiędzy skomentowaniem jej przez ludzi żołnierscy najbliższych czy przez organy informacyjne, jest okresem może najbardziej niebezpiecznym. Żołnierz, pozostawiony sobie, może łatwo ulec prowokacjom, które niewątpliwie miały i mieć będą miejsce na tutejszym terenie. Przed znanego typu prowokatorami, przed wyciąganiem żołnierza polskiego na "rozmówki polityczne," co więcej, przed inicjowaniem bójek "politycznych" ostrzegaliśmy już kilka razy na tych tamach. Teraz szczególnie aktualne wydaje się dzisiaj przypomnienie.

Nie dać się sprowokować podejrzanym elementom, mówić często dobrą angielszczyzną, zachować spokój i przeciwstawić się atakom, które coraz intensywniej wypuszczają przeciw nam na przedpola ofensywa wojny nerwów — oto jedno z zadań dla żołnierza na dziś. Trzeba być odpornym i przygotowanym na wszystko. Nie wiadomo, jaką rolę dziejową wyznaczył nam los w tej wojnie... Wiemy tylko jaką "Rola" wyznaczyła Wanda Wasilewska na polskiego "Tita" in spe. Szpetna to rola.

WIKTOR BUDZYŃSKI

Poszukiwani

- 83. Mikołajczyk kpt. lotnik — poszukiwany przez córke Danute zam. w S.Z.R.R. /R/124/.
- 84. Milewski Jan plut. — poszukiwany przez żonę Ewę i dzieci — Waleriana, Aniele, Barbare i Wiesława zam. w S.Z.R.R. /3800/77/.
- 85. Młodecki /bez imienia/ kpt. był w Kozelsku — poszukiwany przez żonę Marię matkę i córke zam. w Z.S.R.R. /R/63/.
- 86. Michulka Kazimierz — poszukiwany przez siostrę Michalinę Kieszczynska. Polish Refuge Camp. Malir — Sind, Indie /ma list/ /6858/.
- 87. Michalski /brak imienia/ — żołnierz na terenie Anglii, poszukuje matka Anna przebywająca Polish Settlement Kojia, p.o. Mukono, Uganda E.A. /6778/.
- 88. Mroziuk Jana ur. 1920 r. we Lwowie S. Budzislawa, — poszukuje brat Kazimierz 2. London Street, Edinburgh /6220/.
- 89. Łyskawa Franciszek plut. — poszukiwany przez żonę Franciszkę i synów — Henryka i Kazimierza zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.
- 90. Maciejewski Rudolf por. — poszukiwany przez żonę Adelę i dzieci — Grażynę i Wandę zam. w Z.S.R.R. /3800/73/.
- 91. Malecki Władysław podchr. — poszukiwany przez ojca Józefa, matkę Kazimierę i brata Kazimierza zam. w Z.S.R.R. /3800/82/.
- 92. Malek Leon kpr. — poszukiwany przez żonę Janinę i dzieci — Leona, Zygryda i córke Lidie zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.

Osoby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, Londyn, S.W.1.

WYKAZ NR 36 CIĄG DALSZY

- 85. Łakiniński Zbigniew ur. 9.IX.1923 r. w Grodnie — poszukuje matka Halina zam. w Teheranie /6293/.
- 86. Ławryniak Jakub szer. — poszukiwany przez rodziców Maksyma i Oksienę oraz rodzeństwo — Stefanię, Marię i Michała zam. w Z.S.R.R. /3800—82/.
- 87. Lesisz Kazimierz kpr. — poszukiwany

PRZECIWKO GROŹBIE ELITARYZMU

Szanowny Panie Redaktorze. Zamieszczony w nr. 7 "Polski Walcząca" artykuł p. Jana Karskiego p.t. "Kraj i emigracja," nasunął mi pewne myśli. Zastrzegam się jednak, że nie zamierzam spierać się o ten artykuł, zgadzając się z jego zasadniczymi poglądami i intencjami. Idzie mi natomiast o naświetlenie "drugiej strony medalu," drugiej strony spraw poruszonych przez p. Karskiego, jak wiadomo, bojowca, przybyłego z Kraju. Uważam to za rzecz ważną ze względu na to, że pewne niedomówienia artykułu "Kraj i emigracja" pogłębić mogą wypracowania obserwowane wśród społeczeństwa emigracyjnego. Uważam nadto, że szkodliwe strony zjawisk stwierdzonych przez p. Karskiego udało by się może, choćby częściowo, zneutralizować, wtedy, gdy w pełni je sobie uświadomimy.

W jednym wypadku jedynie zdanie moje jest w zasadniczej sprzeczności z opinią p. Karskiego, czego stwierdzenie konieczne jest dla dalszych moich rozważań. Nie mogę niestety podzielić pochlebnej opinii, wyrażonej przez niego o emigracji. Nie dlatego bynajmniej, bym był skłonny do samobiczowania. Zresztą do emigracji wspiarskiej zaliczam się od niedawna i nadal uczuciem bliższym jestem armii polskiej walczącej we Włoszech, niż emigracji londyńskiej, lub nawet wojskom polskim w Wielkiej Brytanii. I nie dlatego, bym nie dostrzegał poważnych osiągnięć naszych władz emigracyjnych. Skłonny jestem nawet przypuszczać, że w bieżących swych zadaniach emigracja w zasadzie wywiązała się ze swych obowiązków. Poważne jednak zastrzeżenia budzi postawa moralna tej emigracji.

Wystarczy pobieżnie przerzucić roczniki prasy emigracyjnej, by znaleźć w nich zarzuty natury etycznej, kierowane zarówno przeciwko tym, którzy znajdują się u steru, jak i przeciw stojącym w dalszych szeregach, lecz nie na peryferiach życia publicznego na emigracji. Nie zagłębiając się w dociekania prawdziwości tych zarzutów, stwierdzam jednak muszę, że rzucanie nieprawdopodobnych oskarżeń jest również ciężkim przestępstwem moralnym. Wystarczy dalej przysłuchać się rozmowom prowadzonym w klubach, ogniskach polskich, a nawet koszarach, by przekonać się, że popłatna posada, ba — nawet żółd i wikt żołnierski przysłoniły wielu spośród nas istotny cel pobytu na emigracji; że "gierka" o poprawę warunków bytu; że dancing, przelotny romansik czy flircik — stały się dla wielu istotną treścią życia w piątym roku najstraszliwszej wojny totalnej, jaką znał ludzki. Może to wszystko jest bardzo ludzkie i bardzo naturalne. Moim jednak zdaniem nie świadczy dodatnio o standardzie moralnym emigracji, jako całości. Stanowiąc też

musi poważny czynnik przy ocenie roli emigracji w przyszłej Polsce.

Słusznie stwierdza p. Karski, że jedynie emigracja będzie mogła "zalać" straszliwe luki wytworzone w szeregach naszej inteligencji. Trzeba sobie jednak uświadomić, że jest z tym związane poważne niebezpieczeństwo, że w parze z "mechanicznym" obsadzaniem stanowisk "przywódczych i kierowniczych" iść może "mechaniczne" powstanie nowej elity, nowej grupy "wybranych." A więc powtórzenie się procesu, który tak groźny osad pozostawił na historii 25-lecia naszej niepodległości.

Zdarzyło się już tak, iż ludzie o niewątpliwych zasługach, niewątpliwym patriotyzmie i bezinteresowności, z chwilą gdy otworzyły się przed nimi proggi kariery osobiste, rychło zapomnieli o porwach młodoci, stając się pionierami protekcjonizmu, słuźalstwa i wzajemnej adoracji. Jeśli oni skwapliwie handlować zaczęli swa przeszłość dla uzyskania posad, synekur, czy innych materialnych korzyści, o ileż groźniej przedstawiać się musi perspektywa ułatwionego startu życiowego dla ludzi,

którzy zawdzięczać go będą jedynie przypadkowi. Jedynie okoliczności, że w chwili, gdy masy narodu krwawiły się w walce, oni mieli możliwość pogłębić swą wiedzę, utrzymać normalne funkcjonowanie swych płuc, żołdaków, nerwów...

Podzielając zastrzeżenia p. Karskiego co do tego, czy emigracja wyżyła dla podniesienia swego poziomu umysłowego i zawodowego, chce jeszcze na marginesie podkreślić swe obawy odnośnie jej "zdrowych nerwów." W czasie swej tułaczki wojennej zetknąłem się z Polakami — więźniami sowieckich "łagrów," z marznącą i głodującą armią naszą w Rosji, z żołnierzami wracającymi z ciężkiego frontu libijskiego i nigdzie nie zaobserwowałem takich objawów nerwowości, jak właśnie wśród emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii. Nasuwa mi to przypuszczenie, że normalne warunki w nie-normalnych czasach wojennych gorzej wpływają na system nerwowy, niż najcięższe przeżycia osobiste.

Wracając do zasadniczego tematu artykułu, chcę dalej podkreślić, że

już dzisiaj skłonności elitarne dają się odczuć wśród emigracji. Ze już dzisiaj nie należą do rzadkości próby dyskutowania swych, nieraz wątpliwych, nieraz niewątpliwych zasług, dla ukucia sobie z nich kapitału dla przyszłej wielkiej a łatwej kariery. Rzekomy "emigracyjny kompleks niższości" ma dosyć powierzchowny charakter. Obok podkreślonej przez p. Karskiego chęci uchylecia się od odpowiedzialności i... pracy, kryje się za nim często bezreflexywne powtarzanie modnego frazesu.

Wedle mojej obserwacji, poważny procent emigrantów przesadnie nawet ocenia szerokie perspektywy, jakie otwiera się przed nimi w kraju, przyjmując to nie jako fakt, nakładający obowiązki pracy nad sobą, ale jako nagrodę za owe prawdziwe czy urojone zasługi. Nie będzie zdaje się przesadą stwierdzenie, że wszystkie "przywódcze" stanowiska w życiu publicznym niepodległej Polski posiadają już samozwańcych kandydatów.

Mimo obaw i zastrzeżeń jakie budzi "mechaniczny" proces obsadzania kierowniczych stanowisk w życiu

gospodarczym i administracji przez ludzi emigracji, pozostaje jednak faktem, że będzie to proces nieunikniony. Dyrektorem elektrowni, architektem miejskim, radcą prawnym instytucji czy urzędu... musi być człowiek z dyplomem wyższej uczelni. I dlatego na uzyskanie tego stanowiska największe szanse mieć będą absolwenci angielskich wszechnic i "uchowani" na emigracji absolwenci polskich uczelni. Inaczej ma się jednak sprawa ze stanowiskami "przywódczymi" w życiu publicznym. Dla samorządowca, kierownika instytucji społecznej, ba — nawet dla ministra, dyplom i fachowość jest cenną, lecz nie jedyną kwalifikacją. Wyżej od nich postawiłbym kościec moralny, zaufanie środowiska, znajomość terenu i t.p. Oczywiście ideałem było by znalezienie jednostek, odznaczających się wszystkimi tymi walorami. Jednakże w naszych warunkach powojennych, gdy z jednej strony poziom moralny i pięciolatnie co najmniej oderwanie od terenu, z drugiej zaś straszliwe przetrzebienie szeregów starszej inteligencji i uniemożliwienie kształcenia młodzieży w kraju — nie pozwała na zbytny optymizm. Uważam, że raczej zrezygnować trzeba będzie z fachuwości i dyplomu, uwzględniając przede wszystkim inne, wyżej wspomniane cechy.

Zdaje sobie z tego sprawę, że taki rozdział na fachowe stanowiska kierownicze i na stanowiska "przywódcze" nie zawsze będzie możliwy i że nie zawsze da on doskonałe rezultaty. Dzielny dowódca oddziału partyzanckiego, czy wzorowy kierownik placówki życia podziemnego, może się okazać dyletantem na stanowisku starosty, kierownika ubezpieczalni społecznej, czy prezesa izby rolniczej. Wydaje mi się jednak, że wśród ludzi kraju znajdzie się po odpowiednim wyborze właściwszych kandydatów, niż wśród dyplomowanych emigrantów, których przygotowanie teoretyczne również nie zawsze uchroni od dyletantwa.

Takie rozwiązanie sprawy zmniejszy również niezadowolone z pozornej inwazji emigracji na posady publiczne i synekury. Wpływnie również na demokratyzację naszego życia przez odebranie pewnym warstwom monopolu na posady państwowe.

Zastrzeżenia moje nie zmierzają bynajmniej do podważenia apelu p. Karskiego o jak najpełniejsze wykorzystanie pobytu na emigracji dla pogłębienia wiedzy i samokształcenia. Jest to bezwzględnie nakazem sumienia obywatelskiego. Dla fachowców we wszystkich dziedzinach znajdują się w Polsce odpowiednie stanowiska, które jednak będą nie synekurą, lecz ciężką służbą dla państwa i społeczeństwa w ciężkich czasach, które nas po wojnie czeka.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze, żołnierskie pozdrowienia i słowa szacunku.

Karol Lewkowicz

Skrzynka pocztowa

Poradnik żołnierski

za służbą /a nawet w służbie/, tak często i tak wiele porusza się spraw o charakterze ogólnym, o kapitalnym, nieraz znaczeniu — czy to dla codziennego życia wojskowego, czy nawet nie wojskowego. Rodzą się czasem w takiej atmosferze myśli pozytywne i szkoda, żeby przemyślały bez echa. Dobrze by więc było poruszać je przed szerszym forum, podać je do przemyślenia, bodaj nawet do zaopiniowania szerszej opinii żołnierskiej za pośrednictwem "Polski Walczącej." Na tej drodze wiele rzeczy można wytknąć, wiele pojęć uzgodnić. Wiele wątpliwości naprostować i nawet wiele złego naprawić.

Piszcie więc też do "Poradnika" o sprawach o charakterze ogólniejszym, które was interesują i które wydają się wam na tyle ważne, by nimi zainteresować innych.

Kandydat do Podchorążówki. Sprawa, o którą pan zapytuje jest dosyć delikatnej natury. Pisz pan, że był pan w Podchorążówce na Śr. Wschodzie i że Podchorążówkę tę rozważano, a jej elewów przywieziono do W. Brytanii. Jeśli istotnie wysokie osobistości po przybyciu tutaj dawały panu i pańskim kolegom zapewnienia, że zostaniecie przyjęci na turnus Podchorążówki w W. Brytanii, i jeśli mimo zgłoszenia się nie został pan powołany do Podchorążówki, przeto radzimy panu stanąć do bezpośredniego swego przełożonego /n. p. / do podjęcia sprawy.

z wyjaśnieniem tej sprawy. Zapewne ostateczny wynik pańskich starań zależeć będzie od powodów, dla których zgłoszenie pańskie do Podchorążówki nie zostało teraz uwzględnione.

Dla uproszczenia całej sprawy dobrze by było, aby pan przy raporcie wręczył swemu dowódcy uprzednio już przygotowaną prośbę do Dowódcy Korpusu, albo nawet do Pana Ministra Obrony Narodowej — o przyjęcie pana na najbliższy turnus Podchorążówki. W prośbie tej należy krótko, ale szczegółowo podać, że... od dnia... do dnia... był pan w Podchorążówce na Śr. Wschodzie, że z dniem... Podchorążówka ta została rozwiązana, że po przybyciu do W. Brytanii w dniu... w miejscowości... przy okazji... Pan X. Y... dał wam zapewnienie, że skończyć Podchorążówkę w W. Brytanii i że wreszcie zgłoszenie pańskie na organizowany obecnie nowy turnus nie zostało przyjęte. Z tych względów prosi pan o spowodowanie ponownego rozpatrzenia pańskiego zgłoszenia i o przyjęcie na najbliższy turnus Podchorążówki. Złożenie takiego podania niczym panu nie grozi. Żołnierzy zawsze wolno prosić, byle by tylko zachował przepisana drogę służbową i byle by podane szczegóły i okoliczności odpowiadały prawdzie. Ostateczny wynik starań — powtarzamy — zależeć może od powodów, dla których zgłoszenie ostatecznie nie zostało uwzględnione.

Dla Polaków w Rosji: £10,815

The Editor, "Fighting Poland," London,
Dear Sir,
I enclose cheque for £66.5.0, being donation to the Women's and Children's Relief Fund from the Alyth (Perthshire) Group of the Scottish Polish Society.
I shall be glad if you will have it forwarded for the relief of Polish women and children.
Might I say that at this time last year we sent a similar sum. The money has been raised from a whist drive, from the sale of free gifts given by Mrs. Yeaman, Mrs. Gunia, and from a "perm" gifted by Mrs. Janiszewska. The whist drive was organised by Miss Wilkie, Mrs. Lindsay and Mrs. Lamond, with Miss Edwards and Miss Todd as Joint Secretaries and Treasurers.
Yours sincerely
John McIntosh

P.S. The sum of £5 has been forwarded to the Polish Prisoners of War Fund through the Secretary in Edinburgh.

Łączną sumę zbiórkę w dziesięcym numerze £66.5.0 /słownie: sześćdziesiąt sześć funtów, pięć szyl./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,815.1.7 /słownie: dziesięć tysięcy osiemset pięćdziesiąt funtów, jeden szyling, siedem pensów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pensów hiszpańskich, 54 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

MARYNARKA WOJENNA NA "POLISH CHILDREN RESCUE FUND"

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £200 /słownie: dwieście funtów/ na Polish Children Rescue Fund.

With many thanks to Mr. H. W. Henderson /Glasgow/ for sending me 10 copies of the pamphlet "The Polish Conspiracy?" I am offering sh.10 for the "Relief Fund for Polish Children in Russia."

W. Siewruk

Sumę £200.10.0 /słownie: dwieście funtów, dziesięć szyl./ przestaliśmy do Polish Children Rescue Fund.

RYSZARD ŻYGA ur. w r. 1923 w Przeworsku, zamieszkały do r. 1939 w Tarnopolu, poszukiwany jest przez swych rodziców. Wiadomości prosimy podać do Redakcji "Polski Walczącej."

Zbiórka książek

Do Redakcji "Polski Walczącej," Wysłałem 15 książek polskich na adres redakcji "Polski Walczącej" w celu przekazania dla naszych żołnierzy na Bl. Wschodzie.

Założone: J. Pietrkiewicz: "Po chłopku" /2 egz./, MacCallum: "Nauka angielskiego," W. Przyborski: "Szwedzi w Warszawie," B. Prus: "Placówka," K. Wybranowski: "Dziedzictwo," T. Katelbach: "U kresu drugiego etapu," A. Fiedler: "Dywizjon 303," H. Sienkiewicz: "Potop," A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz," B. Leitgeber: "Londyn, oblicze i maska," Z. Nowakowski: "Rubikon," O. Laskowski: "Jan III Sobieski" /2 egz./ pchor. Walenty K. oficer oświat. ... Pułku Panc.

Dla Polskich Sił Zbrojnych na Bliskim Wschodzie anonimowo: "The National Geographic Magazine."

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3569 książek.

Na "paczki od serca": £2,266

Wojskowa Czołówka Teatralna "Lwowska Fala" przesała jako rezultat zbiórki w czasie pierwszych przedstawień nowego programu "Początek końca" w obozach Wojska Polskiego £98 /słownie: dziewięćdziesiąt osiem funtów/. Szczegółowe zestawienie ogłosimy później.

Ministerstwo Informacji i Dokumentacji przesyła w załączeniu P.O. na sumę £19.0 /jeden funt i dziewięć szylingów/ na Polaków w niewoli niemieckiej.

Suma ta została zebrana podczas odczytu p. Zajackowskiej w Llandudno /Walia/.

Za Ministra A. Wójcicki

P. JAN JANCZAK, który był w Rosji, proszony jest o podanie adresu do redakcji "Polski Walczącej." Osoby, które by mogły udzielić o nim jakichś informacji proszone są o zgłoszenie się.

Redakcja "Polski Walczącej," Londyn,
W załączeniu przesyłam przekaz pocztowy na kwotę £11 sh.7 d.5.
Kwota powyższa powstała drogą urzędowej imprezy przez 1 i 2 P.A. Mot. z przeznaczeniem na paczki "od serca" dla jeńców wojennych w Niemczech.
Oficer Oświatowy W.M.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Dając skromny wyraz pamięci o imieninach mojej żony, w załączeniu przesyłam sh.10 na "paczki od serca" i pozostaje z głębokim poważaniem L.Z.

Łączną sumę zbiórki w dziesięcym numerze £1116.5 /słownie: sto jedenaście funtów, sześć szyl., pięć i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojskowym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £2,266.0.11 /słownie: dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt sześć funtów i jedenastą i pół pensa/ 50 milrejsów brazylijskich i 2 dol. amerykańskie.

NA PACZKĘ DLA JEŃCA WYŚLANĄ PRZEZ P.C.K.

Redakcja "Polski Walczącej," Przesyłam P.O. na sh.4 d.11 na paczki dla jeńców wysyłane przez P.C.K.
Kwota stanowi przegraną w bridge'a nieprzyjętą przez partnerów w m.p. 1-go pułku panc. Z.J.

KONKURS NA UTWÓR SCENICZNY

Związek Artystów Scen Polskich, Gniazdo Londyn, rozpisuje konkurs na utwór sceniczny, przeznaczony do wystawienia w jednym z czynnych obecnie teatrów polskich /wojskowe czołówki teatralne, teatry objazdowe i t.p./.
Konkurs jest otwarty dla wszystkich autorów polskich.
Temat, charakter i rozmiar utworu — dowolny.
Termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 1-go czerwca 1944 r. /miarodajna jest data stempla pocztowego/.
Prace należy nadsyłać pod adresem Z.A.S.P.-u, Gniazdo Londyn, 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Każda nadesłana praca winna być podpisana godłem. Do każdej przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę z imieniem, nazwiskiem i szczegółowym adresem autora. Na kopercie winno być powtórzone godło obrane przez stojącego do konkursu.
Za najlepsze prace będą przyznane następujące nagrody pieniężne:
pierwsza nagroda Z.A.S.P.-u £50
druga nagroda Naczelnego Wodza £30
trzecia nagroda Min. W.R. i O.P. £25
Jury ma prawo nieprzyznania pierwszej nagrody, względnie podziału jej pomiędzy kilku autorów. Ponadto może wyróżnić pewną ilość prac.
Egzemplarze utworów nagrodzonych i wyróżnionych pozostają w archiwum Związku, co w żadnym stopniu nie ogranicza praw autorskich zastrzeżonych ustawą. Utwory nienagrodzone i niewyróżnione zostaną zwrócone na imienne żądanie autorów nie później, niż w dwa miesiące po ogłoszeniu wyniku konkursu.
W skład jury konkursu wchodzi: Wiktor Budzyński, Miła Kamińska, Maria Kunciewiczowa, Zygmunt Nowakowski, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Szymonowicz, Tymon Terlecki.

WERINAJSEK

SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

"ZATORY POD PSKOWEM"



PRZEMIANY
W związku z wytworzoną sytuacją przysłowie: "siedzieć jak na tureckim kazanu" przestało być aktualne. Natomiast coraz częściej mówią w Ankarze: "siedzimy jak na alianckim kazanu ..."

NOWE PRZYSŁOWIE
"wyszedł jak Badoglio na florencie ..."

TRUDNY JEZYK

—Wie pan, który naród najtrudniej pojmuje język angielski?
—???

—Turcy! Nie mogą w żaden sposób dogadać się z Anglikami ...

MARZEC W LONDYNIE



—Czy przyjdiesz do mnie?
—Chyba po alarmie. Dzisiaj robie "fire-watchera."

SZKOT W CZASIE NALOTU



—Czy pan zwariował? Co pan robi? Przecież to bomba zapalająca!
—Właśnie chcę odpalić papierosa!

NIE ZROZUMIAŁ

Do Londynu przybył na urlop polski żołnierz ze Szkocji. Szuka mieszkania. Odwiedził już domy noclegowe a nawet hotele. Wszędzie zajęte. O północy stoi zmartwiony na ulicy.
—Pan szuka mieszkania? — pyta jakaś Angielka.
—Tak!
—To proszę iść do "Women Voluntary Service."
—Dziękuję, ja już wolę zapłacić!

AUTENTYCZNE

W czasie ostatniego "Blitz'u" na Londyn, jeden z Polaków biegnie z kubłem wody w stronę palącego się domu.

—Dlaczego pan się tak denerwuje? — pytają "fire watchers."
—Na trzecim piętrze pali się!
—No to co?
—Pali się! Jeszcze można ugasić!
—Szkoda! Dom jest asekurowany — odpowiada właściciel kamienicy.

SKĄD SIĘ WZIAŁ W POLSCE "GEN." ROLA?

—Ami z roli, ani z soli, tylko z tego co nas boli! ...

W HYDE PARKU



—Jego to pan nie widzi, tylko mnie! ...

POD WRAŻENIEM NALOTÓW



—Czy uspokoisz się duszko? Bo jeśli nie, to cię zbombarduje ...

POZYTECZNA OSZCZĘDNOŚĆ
W barze dworcowym w Edynburgu, Polak zwraca się do barmanki:
—Sorry, dlaczego tu są tak małe porcje whisky?
—Ażebym się nie spóźnił do pościagu ...

PIERWSZE ZDOBYCZE Z WŁOCH

—Czy pan uwierzy, że Anglicy po zdobyciu Sycylii i południowych Włoch są bardzo skwaszeni?
—Dlaczego?
—Cała Anglia jest obecnie zasypała cytrynami ...

Tekst i rysunki: TONY

White Eagle Club organizuje w piątek, dn. 10-go marca r.b. wieczór autorski

JANUSZA LASKOWSKIEGO, który w najbliższych dniach uda się na front włoski, jako korespondent Kwatery Prasowej Polskich Sił Zbrojnych i korespondent "Polski Walczącej"

Wieczór zagai: Antoni Bogusławski. Początek o godzinie 18.30 /6.30/. Wstęp wolny. Dobrowolne datki przeznaczone na Fundusz Pomocy Jeńcom.

P. TADEUSZ PRUS BUGAYSKI, ANTONI ODROWĄŻ oraz p. IGNA-CY FALKOWSKI proszeni są o podanie aktualnych adresów do redakcji "Polski Walczącej."

SPIS RZECZY:

Stefan Gazet: Tygodnie, miesiące, lata ... — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Maria Brzeska: Polska — żywymi oczami. Matka i dziecko. — Ludwik Bojczuk: Rozmówki z aliantami. — Jerzy Głębocki: Nad wielką wodą /II/. — Żołnierze polscy we Włoszech /Jerzy Jachimowicz: Na komandosowskim szlaku. Ryszard Mossin: We włoskim porcie/. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Poszukiwani. — Skrzynka pocztowa. — Poradnik żołnierski. — Dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca." — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

POSZUKIWANY KIEROWNIK do poważnej firmy londyńskiej do emalowania saletry. Pożądana znajomość kruszenia, mielenia i topienia metali. Stala posada, odpowiedzialne stanowisko. Zgłoszenia ściśle poufne do Administracji Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza pod "Box Sal.1."

Przyjezdni do Blackpool mogą znaleźć doskonałe polskie potrawy w restauracji przy ulicy Titanic, 4, Cheapside.

Ukazał się **SŁOWNIK WOJSKOWY ANGIELSKO-POLSKI I POLSKO-ANGIELSKI** oprawny w płótno w formie kieszonkowej. Zawiera około 16,000 słów i zwrotów, obejmujących słownictwo ogólnotaktyczne i techniczne wojsk lądowych, marynarki wojennej i lotnictwa z uwzględnieniem gwary wojskowej, jak również orderu i odznaczenia polskie i brytyjskie, porównanie miar i wag oraz temperatur.
Cena Słownika: 6 sh.
Słownik można nabyć przez oficera gospodarczego danej jednostki wojskowej lub bezpośrednio w Centralnej Komisji Regulaminowej — Polish Forces P/66 — po przesłaniu należności w formie Postal Order (bez wymienienia odbiorcy).

KSIĄŻKA HISTORIOZOFICZNEJ PROGNOZY
5-te obozowe wydanie książki:
(2-gie Wydanie w Anglii).
STANISŁAW SZCZEPANOWSKI

"WALKA NARODU POLSKIEGO O BYT"

Londyn, 1943r. 331 stron — cena: 10sh.
obejmuje prace:
"IDEA POLSKA WOBEC PRADÓW KOSMOPOLITYCZNYCH" — "RACJONALIZM NARODOWY" i szereg innych
Do nabycia:
Księgarnie przez hurtownie: Simpkin & Marshall (1941), Ltd., Amen House, Warwick Square, E.C., London.

Urywki z głosów prasy:
"DZIENNIK ŻOŁNIERZA" (Glasgow) z dn. 8.10.42 r.: pod tytułem: "Książka — Skarbnica Polskiej Myśli Twórczej" pisze: "Należałoby wyrazić życzenie, by każdy żołnierz polski po poznaniu wartości tej książki, zaniósł ją w plecaku do kraju."
"MYŚL POLSKA" (Londyn) z dn. 15.4.43 r. pisze: "Szczepanowski jest jednak autorem żywym, tzn. wywołującym u czytelnika sprzeciw i dyskusję. Jest szereg takich punktów, które wydają się dziś przebrzmiałe i nieprzekonywujące. Ale są one drobniakiem w zestawieniu z ogromnymi walorami myśli Szczepanowskiego."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD. Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
SM/Hyte, London, W.C.1